

Cenzura w Polskiej Kronice Filmowej

8 lipca 2019

Ilekroć opowiadam o pracy w Polskiej Kronice Filmowej, zawsze pada pytanie o cenzurę.

Kiedy rozpocząłem pracę na Chełmskiej, cenzorem był starszy pan przed emeryturą. Może dlatego miewał sporo zastrzeżeń, niepotrzebnych i drobiazgowych, bez większego znaczenia. Nadmierna czujność, jaką wykazywał, irytowała redakcję, która odpłacała mu nieukrywaną niechęcią. Ku oburzeniu zespołu wyrzucił z wydania temat o głośnym wówczas musicalu „Hair”, wystawianym w Paryżu i przysłany przez francuskich kolegów w ramach wymiany. Michał Gardowski nie dał za wygraną, zaprosił na projekcję Wincentego Kraśkę, ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC PZPR i temat ukazał się w następnym wydaniu PKF.

Jego następca, czterdziestolatek, absolwent Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, zachowywał się racjonalnie, nie wykazywał nadmiernej czujności, nie czepiał się „drobiazgów.” Kierował się bardziej motywacją prawniczą niż ideologiczną. Jeśli temat czy tekst nie naruszały w sposób wyraźny i jednoznaczny zapisów z „księgi zakazów”, nie ingerował. Żeby ułożyć sobie poprawne stosunki z nowym pracownikiem Głównego Urzędu z Mysiej, poprosiłem osoby biorące udział w nagraniach, aby nie okazywały cenzorowi swojej niechęci. Wydawało mi się, że zyskamy w ten sposób jego przychyłność i zrozumienie. Skoro nie mieliśmy szans na zniesienie cenzury, należało ją przynajmniej w ten sposób złagodzić.

Józek – tak go nazywaliśmy – odczytał nasze zachowanie właściwie i nie utrudniał nam życia. Pierwszy zakwestionowany przez niego temat, (modelki na meleksach), ukazał się na ekranach kin dzięki premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi, co z pewnością osłabiło skłonność Józka do ingerencji (patrz

rozdział: „Premier redaguje”, który ukaże się w następnym odcinku).

Mieczysław Róg-Świostek, redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi”, opowiedział mi przy jakiejś okazji o wiejskim proboszczu, który zmienił swoją parafię nie do poznania. Z inicjatywy i zachęty księdza założono w kilku wsiach wodociągi, wyremontowano drogi, pobudowano chodniki... „Warto pokazać takiego społecznika” – zaproponował Mieczysław. Wybraliśmy się do proboszcza wraz z ekipą PKF, któregoś dnia.

Do dziś wspominam duchownego z rozrzewnieniem, a smaku jego doskonałych nalewek nigdy nie zapomnę. Ksiądz okazał się prawdziwym mistrzem w ich tworzeniu. Nie miał sobie równych. Mógł z nim współzawodniczyć jedynie ojciec Jurka Redlicha, u którego spotykaliśmy się przez wiele lat w Wielki Piątek na śledziku i ziemniakach w mundurkach. W mieszkaniu seniora Redlicha stał ogromny kredens, jakich teraz już się nie produkuje, a w jego wnętrzu na kilku półkach „dojrzewały” butelki z wybornymi nalewkami. Żadne modne trunki importowane nie mogły się z nimi równać.

Rozmarzyłem się pod wpływem wspomnień, zamiast opowiedzieć o perypetiach związanych z tematem poświęconym proboszczowi. Przypomnę, że tekst do kroniki po rozstawieniu i przepisaniu wysyłaliśmy do cenzury.

Miało to swoje zalety. Gdy w głowie cenzora zrodziły się wątpliwości, mógł je skonsultować z przełożonymi i przed nagraniem, telefonicznie, zasygnalizować redakcji swoje zastrzeżenia. Tak właśnie stało się z tematem o proboszczu. Józek poinformował mnie, że tego tematu nie puści, bo w księdze zakazów jest napisane, że księży pokazywać nie wolno.

Kto stworzył cenzurę i w jakiej księdze ją opisano? Natychmiast zadzwoniłem do Mieczysława. Spotkaliśmy się w KC i tam zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR, Róg-Świostek, temat „odwojował”. Józek na nagraniu został pozytywnie

zaskoczony, gdy go poinformowałem o decyzji Wydziału Prasy. Nie przypominam sobie innych jego ingerencji. Doszło do tego, że często wspólnie zastanawialiśmy się, jak obejść zapis z książki zakazów.

Po Józku przyszła do kroniki, Basia, magister filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Miła i urodziwa blondynka szybko pozyskała sympatię większości zespołu. Pracę zaczynała od kawy, którą częstowały ją koleżanki pracujące w pokoju, gdzie mieścił się sekretariat. Wielokrotnie korzystałem z porad Basi jeszcze przed podjęciem decyzji o zaplanowaniu tematu do wydania kroniki.

Warto chyba wspomnieć, że wszystkie tematy krytyczne, jakie ukazywały się na ekranach kin w kraju, Basia i Józek puszczali. W rozdziale „Premier redaguje” opisałem tematy krytyczne, które burzyły obraz Polski istniejący w głowie Piotra Jaroszewicza, a dopuszczone na ekran przez cenzorów.

Premier nie był jedynym przedstawicielem władz, który ingerował w redagowanie kroniki i wyrzucał z niej tematy. Oto pewnego dnia złożyli mi wizytę dwaj panowie: przedstawiciel Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej i przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie owijając w bawełnę, zażądali usunięcia z kroniki (24B/79) tematu pod tytułem „Kup pan flaszkę”, w którym pokazaliśmy nielegalny, nocny handel alkoholem w centrum stolicy. Na zdjęciu widać milicjanta kupującego „flaszkę”, albo pobierającego należny mu haracz. Moi rozmówcy (nazwiska znane redakcji) zaczęli od ostrego ataku, zarzucając Kronice szkalowanie Milicji Obywatelskiej i obrazę prawa!

Miałem już bogate doświadczenie z tego typu rozmówcami, więc zapytałem ich, czy mają upoważnienie Komendy Głównej MO i Ministerstwa Sprawiedliwości do prowadzenia rozmów w tej sprawie. Pytanie zachwiało pewność siebie obu panów, co dało się natychmiast zauważyć. Stracili impet i o to mi właśnie chodziło. Następnie zapytałem przedstawiciela Ministerstwa

Sprawiedliwości (za czasów demokracji sędziego, którego nazwisko często gości w prasie), co to znaczy obraza prawa? Kronika prawa nie obraziła, bo Główny Urząd Kontroli Prasy temat zaakceptował, wszak w żadnej ustawie nie napisano, że nie wolno pokazać milicjanta w godzinach nocnych z flaszką „Wyborowej”. Jednocześnie poprosiłem sekretariat, aby przyniesiono mi tekst komentarza i głośno odczytałem go interwentom: „O dziesiątej wieczorem „Delikatesy” w Warszawie przy Placu Zbawiciela zamykają swoje stoisko alkoholowe. Aby ukrócić pijaństwo, usunięto wódkę ze sklepów nocnych, ale takie papierowe decyzje często przynoszą odwrotny skutek. Popyt kształtuje podaż, w różnych ciemnych zakamarkach działają bezkarnie nocne nielegalne „Delikatesy”. Za fatygę – odpowiednie ceny. Handlarze zarabiają podobno w kilka godzin po parę tysięcy. Nieprzemyślane posunięcia administracyjne, bezkarność wobec tego nocnego jarmarku w centrum stolicy. Chyba nie tak powinna przebiegać walka z pijaństwem”. Czy komentarz obraża prawo albo szkaluje milicję? Proszę to udowodnić! Pretensje, jakie panowie przedstawiliście, nie znajdują uzasadnienia. Kronika może usunąć temat tylko po decyzji sądu albo na polecenie Wydziału Prasy Komitetu Centralnego. Macie panowie pełne prawo odwołać się do tych instytucji.

Inny temat krytyczny zamieszczony w Kronice okazał się o wiele groźniejszy. Powstał on z inicjatywy redaktora Rajmunda Ossowskiego, człowieka nadzwyczajnie inteligentnego, ale niezbyt pracowitego. Podkreślam te dwie cechy, Rajmund bowiem był ulubieńcem nie tylko większości zespołu, ale także mojej żony i córki. Przyznaję nie bez wstydu, że chyba dwa razy zamierzałem go zwolnić z pracy. Daremnie. Za każdym razem żona i córka groziły daleko posuniętymi sankcjami rodzinnymi, musiałem, więc wycofywać się i ustępować.

Rajmund nie tylko dał się lubić, był też wielkim oryginałem. Wysłałem go raz do Wrocławia, aby przygotował grunt do realizacji spotkania Edwarda Gierka z młodzieżą, tzn. załatwił

akredytację, lokalizację kamer na stadionie i napisał scenariusz wydania monotematycznego imprezy. Na kilka dni przed realizacją zdjęć Rajmund zadzwonił do redakcji i oznajmił, że Komitet Wojewódzki PZPR odmówił kronice akredytacji! W pierwszej chwili pomyślałem, że może telewizja zażądała wyłączności. Na pytanie, dlaczego nie chcą dać nam w Komitecie zgody na filmowanie, Rajmund odpowiedział z wrodzoną mu szczerością: wiesz w tej firmie pracują jacyś dziwni ludzie i ja nie potrafię się z nimi porozumieć.

Pojechałem natychmiast do Wrocławia. W Komitecie powiedziano mi, że przysyłam na tak poważną imprezę jakichś dziwaków. Czy towarzyszy redaktor Ossowski w redakcji też chodzi z takim wielkim krzyżem? Nosi krzyżyk, ale nam to nie przeszkadza. To nie krzyżyk, ale dużych rozmiarów krzyż – oznajmił zgorszony towarzysz. Akredytację załatwiłem i pojechałem do hotelu, by spotkać się z Rajmundem. Zastałem go jeszcze w łóżku, mimo że było późne popołudnie. Poczekalem, aż się ubrał i poprosiłem o pokazanie tego krzyża, który zawiesił sobie na szyi, gdy szedł do komitetu. „Tobie też odbiło?” – zapytał. „Rajmund, bądź poważny, to sprawa niezmiernej wagi, a ty sobie żartujesz” – odpowiedziałem. Rajmund Ossowski pokazał mi wtedy krzyż bardzo dużych rozmiarów, którego nigdy nie nosił w redakcji.

„Sądziłem Rajmundzie, że jesteś poważnym dziennikarzem, a ty wyprawiasz jakieś dziwactwa” – powiedziałem. „No, wiesz chciałem sprawdzić, jak mnie potraktują w tej jaskini lwa” – odparł. „Zachowujesz się jak święty Franciszek, a chyba zgodzisz się ze mną, że odszedłeś od jego ideałów bardzo daleko”. „Zapraszam na obiad” – odparł, jakby się nic nie stało. Taki był redaktor Ossowski.

Niedługo potem przygotowany przez niego temat o radioodbiornikach fabryki „Diora” w Dzierżoniowie wzbudził moje zdziwienie i uznanie za doskonałe skomponowanie, dokumentację, która nie budziła najmniejszych zastrzeżeń i logikę argumentacji. Ukazał się w wydaniu Kroniki 9B/76. Basia, cenzorka nie miała żadnych zastrzeżeń. Nie

przewidzieliśmy jednak następstw, jakie wywoła.

Najpierw zaprotestowały organizacja partyjna i rada zakładowa, potem dyrekcja „Diory” i lokalne władze, następnie zjednoczenie. Oskarżono kronikę o sabotaż i o to, że zagraniczni kontrahenci zerwali umowy, a więc zmniejszy się napływ cennych dla kraju dewiz. Kronika działa zatem na szkodę socjalistycznego państwa. W listach indywidualnych i zbiorowych pytano, kto stoi za działalnością Polskiej Kroniki Filmowej? Takie pytanie zawierało już sugestię odpowiedzi: oczywiście, wraz siły imperialistyczne.

Nie identyfikowano na razie tych sił. Ale lada dzień patriotyczna załoga miała je wskazać – to oczywiste. Stanowczo żądano usunięcia szkodliwego tematu z kroniki i przeproszenia załogi, której dobre imię zszargaliśmy.

Przyznaję, że po raz pierwszy przestraszyłem się „stanowczych żądań”. Obawiałem się, że gdy załoga dotrze do premiera, będzie oznaczać to dla mnie koniec. Tematu jednak nie wycofałem. Wystraszony udałem się do Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, choć nikogo tam nie znałem. Przedstawiłem sytuację i poprosiłem o konsultację. Poprosiłem, by ktoś z Wydziału ten krytyczny temat obejrzał. Przyjechały dwie osoby. Po obejrzeniu tematu padło pytanie: to wszystko? Szkoda, że tak delikatnie ich skrytykowaliście, zasługują na więcej. Byłem spokojny. Zaproponowałem zjednoczeniu i załodze z Dzierżoniowa spotkanie na Chełmskiej. Propozycję przyjęto.

Nikt nie wiedział o stanowisku pracowników Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, nawet moi najbliżsi współpracownicy. Poleciałem, aby w sali „B” ustawiono kamery dźwiękowe, zainstalowano odpowiednie oświetlenie i przygotowano odpowiednią liczbę mikrofonów. Mieliśmy dyskutować. Autor tematu, zaproszeni goście i ja. Przybysze nie byli przygotowani na „wystrój” sali. Poinformowałem zebranych, że będziemy filmować dyskutantów, nagrywać dźwięk i opublikujemy przebieg spotkania w specjalnym wydaniu PKF.

Na sali zapanowała grobowa cisza. Zawsze tak bywa, wszyscy czekają na pierwszego odważnego. Tym razem wśród przedstawicieli załogi, władz lokalnych i dostojników zjednoczenia nikt taki się nie ujawnił. Kronika mogła się cieszyć zwycięstwem nad biurokracją, autor tematu przeżywał satysfakcję, ja znalazłem się na dwa tygodnie w szpitalu. Musiałem leczyć zszarpane nerwy.

Opisane tu przypadki nie były odosobnione. Najbardziej bałem się protestów weteranów – wszakże to ludzie zasłużeni dla kraju. Niejednokrotnie nie znaczyło to wcale, że ich protesty czy krytyka miały jakiegokolwiek uzasadnienie. Oto jeden z przykładów.

Wiesław Gołas, znany i lubiany aktor, śpiewał swego czasu zabawną piosenkę „W Polskę idziemy”. Ledwie umieściliśmy go wykonującego tę piosenkę, w kronice napłynęły protesty. „Będąc w kinie – pisał oburzony weteran – w przeddzień rocznicy wybuchu wojny z Niemcami (pisownia oryginalna – M.Ch.) zostałem „uraczony” przez PKF widowiskiem, które w zestawieniu z nadchodzącą rocznicą nabiera wprost specyficznej wymowy i posmaku, świadczących, na jakie manowce zeszyła nasza wrażliwość patriotyczna i jakie postępy osiągnęła znieczulica społeczna na fakty obrażające naszą godność narodową i bohaterską przeszłość... Domagam się pełnej satysfakcji i zadośćuczynienia w drodze naprawienia krzywdy, jaka została wyrządzona dobremu imieniu polskiego kombatanta walki z faszyzmem”.

Weterani to z pewnością ludzie zasługujący na szacunek, ale tacy patrioci chyba nie zawsze. Inny temat wzbudził nie tylko śmiech w salach kinowych, ale protest kilku doktorów nauk. Jerzy Modro, dyrektor do spraw ekonomicznych WFD, zapytał mnie kiedyś na korytarzu, czy może nas zainteresować praca doktorska napisana na podstawie nieprawdziwych dokumentów. Już wtedy wśród rządzących doktoraty zaczynały być modne, (na własne oczy widziałem wydaną w formie książki pracę dokorską partyjnego dostojnika, który miał zaledwie maturę).

Natychmiast wysłałem ekipę w teren.

Ela Zawistowska, pierwsza kobieta w Polsce, umiejąca posługiwać się kamerą, osoba o cudownym poczuciu humoru, przywiozła temat, który tu krótko zrelacjonuję. Gdzieś we włodawskim powiecie żył sobie rolnik w wieku emerytalnym. Gospodarstwo przekazał synowi, a sam, aby zabić nudę, siadał nad sadzawką przydomową, ale nie po to, by słuchać rechotu żab, tylko żeby rzeźbić w kamieniach różne postacie, wywodzące się z klecht opowiadanych w długie zimowe wieczory przy darciu pierza, a tkwiące w jego głowie. Rzeźby nie miały wysublimowanych kształtów, lecz były proste jak narzędzia, którymi ów rolnik się posługiwał, można nawet powiedzieć pierwotne. Dzieła swoje ustawiał nad sadzawką, tuż przy lustrze wody, aby refleksy słoneczne ożywiały postacie z martwego kamienia. Zdarzyło się, że kilka figurek wpadło, i to nie raz, do sadzawki popchnięte nogą krowy w czasie pojenia. Artysta wydobywał je ze szlamu i pracowicie ustawiał z powrotem na brzegu.

Razu pewnego przejeżdżał wtedy młody magister z Lublina i dostrzegł owe ludziki, zwierzaki i kwiaty kamienne nad sadzawką. Zapytał rolnika skąd się tu wzięły? – Jak my pogłębiali sadzawkę, to wydobyłem je ze szlamu – odpowiedział ludowy artysta. To wzmogło zainteresowanie przyjezdnego, który zaczął rzeźbom przyglądać się uważnie, kilka wziął nawet do ręki i obejrzał bardzo dokładnie. Podziękował rolnikowi i zapewnił, że wróci tu jeszcze.

Przyjechał w dniu Matki Boskiej Zielnej z samego rana, w czas odpustu. Ale zamiast iść na procesję, zaczął figurki fotografować zbiorowo i każdą z osobna, w słońcu i w cieniu.

Dziadek powziął nawet podejrzenia, że miastowego człowieka, nie figurki tu sprowadziły, a jakieś nieczyste zamiary. Nie poszedł na mszę z rodziną, postanowił popilnować przyjezdnego. Kiedy młody człowiek zakończył fotografowanie, zasypał dziadka pytaniami. Jednocześnie zachęcił go, by spróbował poszukać na

dnie sadzawki jeszcze więcej wykopalisk. Na odjezdnym dał dziadkowi na piwo i zapowiedział, że wróci.

Uradowany artysta ze wzmożonym natchnieniem tworzył nowe mini rzeźby i wrzucał do sadzawki. Gdy magister pojawił się ponownie, poinformował rolnika, że będzie pisał pracę doktorską, bo tędy prowadził szlak rzymskich kupców, którzy jeszcze przed narodzeniem Pana Jezusa najprawdopodobniej tu biwakowali albo nawet w tych okolicach prowadzili handel wymienny ze Słowianami, którym za bursztyn płacili figurkami dziadka znad sadzawki.

Chłop przestraszył się nie na żarty, bo nie mógł pojąć, dlaczego taki uczony człowiek Chrystusa Pana, wmieszał do jego rzeźb? Bał się przyznać do swojego żartu, nie poszedł do spowiedzi, bo proboszcz słynął z surowości. Gdyby nie Chrystus, przyznałby się do grzechu.

Młody uczony przyjeżdżał jeszcze kilka razy. Dziadek wrzucał swoje rzeźby do sadzawki, potem je wydobywał i przekazywał „uczonemu z Lublina.” A gdy młody człowiek przestał przyjeżdżać po wykopaliska, odetchnął z ulgą, rzeźbić jednak nie zaprzestał. Aż tu po roku, a może nawet po dłuższym okresie pojawił się nad sadzawką, już teraz doktor nauk... i wręczył dziadkowi książkę o rzymskim szlaku handlowym, który wiódł przez ziemię włodawską, w czasach, gdy siedzieliśmy jeszcze na drzewach.

Lekturę tej pracy doktorskiej polecam panu doktorowi Markowi Cieślińskiemu i zachęcam go, gdy będzie na Chełmskiej, aby obejrzał kronikę 40B/71, bo chyba ją przeoczył, gdy zbierał materiały o kronice do swojej pracy doktorskiej, która potwierdza (praca dr Cieślińskiego), że rzymskie szlaki handlowe, jak się autor postara, można odnaleźć także na Chełmskiej, co prawda nie ma tu sadzawki, ale jest archiwum.

Temat o dziadku wzbudzał w kinach życzliwy śmiech widzowi. Niektórych doktorów nauk zbulwersował jednak do tego stopnia,

że zaczęli słać do redakcji protesty przeciw obniżaniu rangi nauki polskiej, a pozycji doktorów w szczególności. Jeden uczony doktor wysłał nawet na Mysią pytanie, dlaczego cenzura pozwala ośmieszać ludzi nauki? Był to z pewnością doktor marcowy.

Czy cenzura w socjalizmie była potrzebna? Zadawaliśmy sobie to pytanie nie na naradach oficjalnych, a na spotkaniach towarzyskich, gdy po kilku kieliszkach wypitej wódki stawaliśmy się bardziej otwarci. Posługiwaliśmy się, odpowiadając na to pytanie, wiedzą zaczerpniętą z książek. I tu dochodziliśmy do konstatacji, że to nie ojcowie myśli socjalistycznej są twórcami cenzury, że powstała ona znacznie wcześniej i do dziś jest z powodzeniem stosowana przez najstarszą i najpotężniejszą organizację świata. Czerpaliśmy też przykłady z wiedzy współczesnej i własnych doświadczeń.

W ZSRR i NRD na przykład instytucja cenzury prewencyjnej nie istniała. A przecież różnice w otwartości „środków masowego przekazu”, jak wówczas nazywano media, były widoczne dla każdego, kto czytał prasę krajów socjalistycznych czy mógł oglądać kroniki, filmy i telewizję w tzw. obozie socjalistycznym. Wielu moich kolegów twierdziło, że im cenzura nie przeszkadza, wręcz przeciwnie w pewnym sensie chroni dziennikarza, bo zawsze można powiedzieć: przecież cenzura to puściła. Skorzystałem z tego argumentu w rozmowie z przedstawicielami Komendy Głównej MO i Ministerstwa Sprawiedliwości.

Ale tak naprawdę za „błędny” artykuł, materiał w telewizji czy w kronice wyrzucano cenzora i redaktora. Było, więc dla nas oczywiste, że wszelkie kagańce ograniczające różnorodność myśli i poglądów są niekorzystne dla społeczeństwa.

To prawda, nie starczyło nam sił i odwagi, by mówić o tym głośno. Demonizowanie obecnie cenzury przez prawicę jest śmieszne, w kraju, w którym ona nadal istnieje, tyle tylko, że w zawołowanej formie. Spróbujcie pośmiać się z przywódców tej

organizacji, która przez wieki, cenzurowała swobodę myślenia, a nad Wisłą skutecznie robi to nadal, tłumiła niezależność badań naukowych, a w ograniczaniu innych idei ma niebywałe osiągnięcia. Spróbujcie pożartować z człowieka, który przez ponad dwadzieścia lat stał na czele tej organizacji, choć ulepiono go z tej samej, co nas gliny. Spróbujcie. Nie lękajcie się!

„Trybuna” spróbowała. Kolejni redaktorzy naczelni dziennika przepraszali...

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, Pekaefczyk.com